Nro 2.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 15 stycznia 1846. **Rok siódmy.**

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 1 stycznia 1846.

Stroje damskie. Strojem balowym dla młodej panienki jest suknia z gazy błękitnego koloru, z podwójną spodnicą na białej atłasowej; spodnica wierzchnia ubrana całkiem prawie kwiatami śrebrnemi; suknia ta dziwnie pięknie wydaje się przy świetle.

Dla mężatki brunetki zalecamy bardzo suknię z atłasu królewskiego w pasy żółte i paliowe, po których duże bukiety z róż są rzucane. Suknia ta otwiera się w przodzie w kształcie fartuszka z pod którego wygląda biała atłasowa spodnica. Spodnica wierzchnia obszyta jest wkoło korunkami które w pewnej od siebie odległości poprzypinane są kwiatami żółtej cykorii. Do tej sukni strój głowy jest również z korunek, żółtych kwiatów i kłosów śrebrnych. Strojem poważniejszym jest suknia z różowego axamitu, roztwierana po bokach, i ubrana atłasem i różową krepą. Stanik u tej sukni ubrany draperiami z krepy, przypiętemi na środku gorsu bukietem z liści dębowych z zielonego axamitu, między któremi są śrebrne żołędzie; na głowie girlanda *à la Cérès* którą formują dwa długie wieńce z dębowych liści.

Niemniej świetnym i eleganckim strojem jest suknia ze śrebrnych korunek, z podwójną spodnicą, na jasnobłękitnej atłasowej; z bertą również podwójną, i bardzo małemi korunkowemi rękawkami. Obydwie spodnice podniesione z każdej strony przez trzy wielkie fałdy które przypięte są bukietami kwiatów z jasnobłękitnego axamitu.

Krój redyngocikowy jest powszechnie przyjęty w sukniach od codziennego wyjścia; stanik przy takich sukniach jest pod samą szyję zachodzący i z małym kołnierzykiem; niektóre z nich są wycięte na piersiach tak że trzeba do nich używać półkoszulka korunkowego przezco strój cały nabiera więcej elegancii.

Niemożemy jeszcze pominąć jednej sukni bobyśmy przezto krzywdę czytelniczkom zrobili. Suknia ta jest z białego atłasu, na której jest trzy spodnice ze złotej gazy, popodpinane w kilku miejscach złotemi sznurami, które spadają w kształcie fręzli; cały przód spodnicy atłasowej haftowany w złote arabeski, w miejscach zaś gdzie spodnice gazowe podpięte sznurami, błyszczy także bukiet ze złotych liści winogradowych i winogron naśladowanych z pereł lub diamentów; strój głowy powinien być bardzo do reszty stroju podobny.

Stroje męskie. Do dawniejszego opisu mód męskich małoco możemy dodać nowego. Fraki z krótkiemi mocno połami, spodnie wyjątkowego nieco kroju, przystające wdzięcznie do czarnego bucika z mocno uciętym nosem lub też tak zakrzywionym że niemal traci formę; oto jest wszystko co jako osobliwość widzieć tu można. Dodajmy do tego kształt kapeluszów tak maleńki że gdyby moda w tym samym stopniu postępowała, niewidaćby ich było na głowie; nakoniec parasol w ręku tak sztucznej maszynerii że się same otwierają i zamykają za pomocą małej sprężynki; wynalazcą ich jest *Casal*.

Rycina przedstawia: suknię balową z krepy chińskiej ubraną różami lub winogronami. Suknię krojem bluzy do paska, z bertą; garnirowaną axamitem i wstążkami. Suknię z pondiszeri jedwabnego, ubraną axamitkami i guzami; stanik wysoko zachodzący.

Przypomnienia z podróży po kraju

przez

AUGUSTA BIELOWSKIEGO.

Dokończenie.

Gdyśmy po obejrzeniu drobniejszych niektórych szczegółów udali się na jedną z opok która przed główną budową wznosi się wysoko i rozłożyście formując rodzaj narożnika zamkowego, już słońce zstąpiwszy z wierzchołka najwyższych gór zazierało coraz głębiej w dolinę i oblało blaskiem sam wierzchołek zamku. Spojrzawszy nań z punktu w którym staliśmy, dojrzeć było można najwyraźniej głowę olbrzymiej wielkości nieco ku zachodowi zwróconą: czoło i twarz mocno narysowana i jakby gniewem ściągnięta przedstawiały się oczom naszym najwydatniej i same tylko w opromienieniu, jakby nagie, podczas gdy cień resztę opoki powlekający udawał suknię tego olbrzyma. Z odleglejszych borów zaczęło ptastwo za rannym żerem się puszczać i jeden z większych orłów krążył powolnym i prawie nieruchomym lotem wysoko nad samym szczytem zamczyska.

Przedziwna jest kolej natury, zdaje się jakoby ciągła i najrozmaitsza zmiana kształtów, ciągłe przeobrażanie było jedno z głównych jej zadań. Ktoż się nieprzypatrzył zamarzającej szybie jak wyraźne naśladuje postacie drzew i innych przedmiotów. Dymy wielkiego pogorzeliska widziano nieraz jak się grupowały w rzędy domów i ulic formując w powietrzu jakby odcień miasta które padło pastwą pożaru, a nasze druidyczne, napoły dłonią natury ukształtowane zamczyska (widziałem to zjawisko na kilku) przybierają w ostatniej swojej przemianie niby postać człowieczą której tylko kilka uderzeń dłutem brakuje aby się stały na wielki rozmiar posągami.

»Widzisz Ludwiku tę zieleńszą pod samym szczytem gałązkę? to bluszcz! przemknął się rozpadlinami ku wierzchowi, jakby uciekał z naszego poziomu gdzie i jednego listka jego nie znajdziesz; a jak tam wybujał by zwieńczyć postać z dawnych czasów.«

Na tę słowa zmierzył spokojnie wysokość skały mój towarzysz, i z tą doraźną odwagą w której i siła i przeczucie pomyślnego skutku się objawia, a której w dalszem swem życiu tak świetne złożył dowody, poskoczył ku stronie wschodniej, gdzie niedaleko bramy był gzyms i ślady wyżłobień po których z wielkiem niebespieczeństwem można było dostać się na wyższe piętra. Patrzaliśmy z trwogą wraz z przewodnikiem na jego kroki: wylazł szczęśliwie, obszedł wszystkie pieczary, obejrzał wszystkie rozpadliny, wyglądając z nich do nas i opisując ich wielkość, i niespoczął aż się przypatrzył zbliska rysom owej twarzy i wrócił potrząsając w ręku zieloną gałązką.

»Jest bluszcz i dla nas, ale kto go chce uszczknąć musi nie raz tylko ani kilka razy życie narażać.«

* * *

Chcieliśmy usłyszeć jeszcze co z podań miejscowych i dowiedzieć się jak też lud podobne pomniki uważa. Kilku wieśniaków wygnawszy swoje bydło na łąkę, zeszło się właśnie na widok nieznanych jakichś gości do zamku. Odpowiedzi ich na robione przez nas pytania szły jakoś nieśmiało i opowiadanie ciągle się urywało. Natenczas przewodnik nasz przybrał minę nader poważną i z niejakiem lekceważeniem dokoła stojących rzekł: Ja sam opowiem najlepiej jakto było, bo mi o tem najstarsi ludzie powiadali.

»Jestto robota dokogucia.«

Ten ostatni epitet, był dla nas za treściwy, i niemogliśmy się tak prędko połapać coby oznaczał; ale go nam dostatecznie wyjaśnił dalszy ciąg powieści.

»Całą tę przestrzeń kraju jak ją panowie widzicie, chcieli zagarnąć czarci na swe dziedzictwo, bo się im bardzo podobała; postanowili więc odgrodzić ją murem ogromnym, a tu sobie gmach postawić na mieszkanie, i zabrali się na gwałt do roboty. Tylko co postawili ten zamek, i zaczęli wznosić węgły i podwaliny rzucać do owego muru, które nie tylko tu ale w całej okolicy sterczą porozrzucane po lasach, aż w tem kur zapiał i robota się urwała. Tu jednak długo miał swoją stolicę, sam ich najstarszy z swym dworem. Aż razu jednego szli działem tym muzykanci z Tustanowic do Korczyna. Grali oni przecudnie. Wyszli czartowie na przeciw nim i zaprosili ich do zamku. Tam kazano im grać i hojnie ich częstowano; ale mieli się na baczności: nie pili nic tylko wylewali za siebie. Czarci tymczasem popili się na zabój, zaczeli marzyć i posnęli. Natenczas trzeźwi nasi muzykanci rozpatrzywszy się w zamku, nabrali pieniędzy ile tylko unieść mogli, a w beczki z prochem które tam stały, powtykali świece i odeszli. Po chwili robi się huk: pękają beczki z prochem i wysadzają wszystko w powietrze. Czarci zrywają się ze snu, już pożno! niema rady! ucieka każdy którędy może. Jeden porwał w strachu telegę, puścił się na niej z takim pędem przez góry, że spadając z najwyższej połoniny uderzył w buka, zagrzązł weń i zarósł tam z kołami. Był wszelako jeden z wysadzonych w powietrze czartów który niedarował swego: leciał wprost za muzykantami, dognał ich już niedaleko Korczyna i

poobcinał im uszy: dla tego zowią się **bezuszki**. Od tego czasu już tylko szczątki uryckiego zamku zostały. Drzazgi prochem wysadzone leżą tu naokoło, cała drużyna czartów zmierziła sobie tę siedzibę. Jeden tylko z urwaną nogą tu został. Pastuchy widzą go niekiedy jak wyłazi z dziury, kuso ubrany jak zwykle, pali fajeczkę na krótkim cybuszku i sztylhyka sobie wkoło rozwalin nikomu nic złego nierobiąc.«

Pieśń którą nam w końcu nasz opowiadacz jakby na pożegnanie zaspiewał, zadowolniła nas więcej niż to podanie. Zdawało się nam jakby w tych tu miejscach była ona tworzoną. Przynajmniej żywo przypomniała nam ona treścią swoją jedną z minionych epok życia tutejszych mieszkańców, i jeżeliby się godziło uzupełnić sobie własnym domysłem: jakiego rodzaju były te nadużycia dla którychto Zygmunt I, zamek niniejszy odebrał Podhorodeckim a oddał pod zarząd Kmity, tedy przedmiot tej pieśni możnaby odnieść do jednego z członków owej rodziny. Brzmi ona tak.

Wyprawa.

Rano kur zaspiewał czujny,
Raniej wstał nasz pan: potrójny
Wstaje blask, płoną trzy świéce.
Przy jednej się mył; zbroicę
Wdział przy drugiej; a przy trzeciej
Siodła konia, w pole leci.

»Dalej, dalej w ziemie żyzne!
Węgierszczyznę, turecczyznę
I wołoskie przebież szlaki.«
Biegł i ztoczył bój trojaki.

Wraca do dom, mnogi połów
Za nim: stado bujnych wołów
Z Wołoch; dzielne dwa bachmaty
Z Turek; z Węgier trzos bogaty.

Wołoskiemi więc czabany
Naddniestrzańskie sprawia łany;
Na bachmatach spada lotem
W bitwy; wojsku płaci złotem.

Zakończenie tego czarodziejskopoetycznego epizodu naszej wędrówki, było wcale nieczarodziejskie. Gdyśmy się zabierali już ku powrotowi i chcieli wynagrodzić naszego spiewaka i przewodcę, postrzegł mój towarzysz że niema swej sakiewki. Niedługo potrzebował sobie przypominać, aby trafił na ślad kiedy i jakim sposobem z jego kieszeni zniknęła. Miał ją na noclegu, miał w drodze jeszcze, cała więc zagadka rozwiązała się w sposób który nas wszystkich do żywego śmiechu pobudził. Sakiewka jego, niezbyt sowicie czterdziestówkami i zdawkową monetą wyposażona, była w tej samej kieszeni co i szklanka i w czasie ustawicznego drapania się i zsuwania obrała sobie w niej siedlisko. Właśnie gdy wyciągał szklankę z kieszeni dla nabrania wody, cięższy koniec sakiewki spoczywał na jej dnie, a drugi leciuchnym kutasikiem balansował na jej krawędzi. Postrzegłszy ją nie pierwej aż gdy już wody zaczerpnął, wziął ją, mając nabitą głowę ową powieścią przewodnika, za najoczywistszego węża a przynajmniej żabę szkaradną, i wyrzucił w krzaki, gdzie aż do naszego powrotu, który właśnie tamtędy przypadał, zostawała w całości, z wielkiem naszem a większem jeszcze naszego przewodnika rozczarowaniem i zdziwieniem.

Bóg i bajadera.

Legenda indijska.

(*z Goetego.*)

Bóg Mahadoch władzca ziemi
Schodzi znowu na padole,
Chce się zbratać z ludźmi, z niemi
Czuć rozkosze i niedole;
W ziemską wstąpił on zagrodę
Postać człeczą przyobleka,
By ukarać, dać nagrodę,
Chce być człekiem, poznać człeka.
I gościł w murach miasta wspaniałych
Rozważał, śledził wielkich i małych,
I dalej boży sędzia pospiesza.

2.

Po za bramą, kiedy zchodzi
Do ostatnich już przedmieści,
Dziecię drogę mu zachodzi,
Twarzy ładnej, płci niewieściej
»Witam ciebie!
— »Z chęcią szczerą
Powitamy miłych gości« —
»Ktoż ty jesteś?«
— »Bajaderą;
A to domek jest miłości:« —
I lubo dźwięcznie w lutnię zadzwoni,
I zgrabnie w tańcu zwije się, skłoni,
I wieniec kwiecia składa mu do nóg.

3.

Mile wabi i przynęca,
Pieszczotliwie w dom zaprasza;
»Dla ładnego, dla młodzieńca
Jasna stanie chata nasza.
Z tej podróżnej poniewierki
Spocznij miły, ja cię proszę;
Znajdziesz u twej bajaderki
I spoczynek i roskosze.
*

Krząta się dziewczę i służy i biega;
A bożek widzi, z pociechą postrzega
Serce dobroci, w tym domie zepsucia.

4.

Gdy posłuszne pana woli
Dziewczę krząta się w przyjęciu,
Z płodnych zalot, poniewoli
Miłość budzi się w dziewczęciu.
Pusty gdy odpadnie kwiatek
Słodki owoc się odsłania;
Posłuszeństwo pierwszy datek
Tkliwych darów przywiązania.
Lecz boży sędzia na próbie tej jednej
On nie przestaje, i razem dla biednej
Roskosz przeznacza, boleść i grozę.

5.

Dziewczę mocniej się rozczula,
I zapłacze łezką pierwszą,
Do młodziana się przytula,
Czuje miłość, ach! najszczerszą;
W niej już niema pustej chęci,
Ona sobą już niewłada;
Bez siły już, bez pamięci,
Na kolana przed nim pada.
A z nocnych godzin z błękitnego łona
Spuszcza się ciemna i cichą osłona
Na ciche łoże słodkich roskoszy.

6.

I pieszczoty ją uspiły,
Biały znowu budzi ranek,
Z grozą widzi, że jej miły
Martwo leży jej kochanek.
Biedne dziewczę potruchlało,
Płacze, jęczy, targa włos,
Gdy młodziana martwe ciało
Na pogrzebny niosą stos.
Xięża żałobne spiewają dumy;
Jakieżto dziewczę rozpycha tłumy?
I rozpaczliwy podnosi głos?

7.

I na martwe ciało pada
»Ja małżonka szukam mego;
Głosem rozpaczy zagada:
»Ach powróćcie mnie miłego,
Będzież postać ta wspaniała
Dziś popiołu garstką biedną?
Przy mem sercu jam go miała
On był moim, ach noc jedną!
Xięża spiewają. »Idzie na mary!
Długiem swem życiem żnużony stary,
I silny życiem swojem młodzianek.

8.

»Dajem tobie radę szczerą,
Młodzian nie był mężem tobie;
Tyś mu była bajaderą,
Z nim nie legniesz w jednym grobie.
W kraj grobami osłoniony
Za swym cieniem idzie ciało,
Ginąć z mężem, to jest żony
Powinnością, razem chwałą.
Zabrzmijcie trąby świąteczną żałobą,
Przyjmcie młodziana; był ziemi ozdobą,
Przyjmcie bogowie młodziana do siebie!

9.

Tak chór głosi w groźnym tonie
Bez litości nad cierpiącą;
Dziewczę wznosi obie dłonie,
Skacze w straszną śmierć palącą;
Boży młodzian ją pochwyca
Już ginącą, już w płomieniach;
I zbawiona jest dziewica,
Na kochanka jest ramieniach.
Bogi się cieszą grzesznika pokorą:
Zgubione dziecię w opiekę swą biorą
Na swych ramionach ku niebu podnoszą.

Adam Gorczyński.

Zbrodnia i wyrok przysięgłych.

Przy parującym samowarze siedziała wdowa po zmarłym radcy Soldan, z swoją ośmnastoletnią córką Ludwiką na sofie, pierwsza wonną herbatę nalewając, druga w sitku haftując; obok tej siedział adwokat Bremer w poręczowem krześle, podziwiając piękny rysunek, i żywe kolory haftu przeznaczonego na parawanik do kominka; przedstawiał on osobę z zawiązanemi oczyma, w jednej ręce miecz w drugiej szalę trzymającą.

»Dałby bóg« odezwał się Bremer, »żeby sprawiedliwość nigdy zawiązki z oczu niezdejmowała, wtedy ludzie mogliby z większą ufnością powierzać jej swoje sprawy.«

»Alboż się to teraz nie dzieję?« zapytała pani radczyni.

»Niestety! nie« odpowiedział; »czasami przesądy, osobiste wrażenia miewają wpływ, korzystny lub szkodliwy przy osądzeniu sprawy; niemowię tu o procesach cywilnych, ale o sprawach kryminalnych, gdzie idzie o majątek, wolność, a może o życie naszego bliźniego; biada wtedy, jeżeli przesąd zajmie umysły sędziów przeciw oskarzonemu, obrona jego niezmiernie staje się uciąźliwą, i musiałoby zbywać na wszelkich dowodach winy, jeżeliby wyrok miał dla

niego wypaść pomyślnie, w prawdzie w sądach przysięgłych ma to mniej znaczenia. Tu przysięgli sądzą podług swojego wewnętrznego przekonania, a sędziowie wymierzają tylko karę według przepisów prawa.«

»Od czasu« odezwała się Ludwika, »jak sądy przysięgłych u nas zaprowadzono, publiczność ma większy udział we wszystkich wypadkach sądowych działań; wszelako jak ci wiadomo kochany Gustawie, nigdy jeszcze niebyłam obecną na sądach przysięgłych, zawsze mi tego odmawiasz.«

»Twój przyszły mąż ma słuszność!« przerwała matka. »My kobiety z delikatniejszem uczuciem, niepowinnyśmy znajdować się w miejscu, gdzie zbrodnie bywają karane.«

»Widzisz kochana Ludwiko, i ja z tej strony rzecz tę uważałem; czybyś wstręt albo litość na widok oskarzonego uczuła, i w miarę tego pragnęła jego ukarania, lub uwolnienia od winy, zawsze twój umysł byłby wzruszonym, twoja wyobraźnia nieprzyjemnie zajętą, pozostaw te surowe widowiska mężczyznom, którzy z nich korzystać zdołają.«

»Zgadzam się na to, ale jeżeli kobieta lub dziewczyna wie, że jej bliski krewny jest w okropnem położeniu oskarzonego, nie powinnaż tam pospieszyć, aby go pocieszyła swoją obecnością i natchnęła odwagą?«

»Niech nas bóg od tego zachowa!« powiedziała radczyni, »przestraszasz mnie Ludwiko twojem zapytaniem!«

»Kochana matko« odpowiedziała Ludwika »wszyscy jesteśmy ludźmi, i w mocy boskiej. Nieszczęśliwy jaki wypadek może nas zawikłać w proces, gdziebyśmy sądowych badań uniknąć niemogły; a ja jako przyszła żona człowieka, którego powołaniem jest, poświęcić talent swój i wiadomości prawne obronie niewinności, powinnam się obznajomić z okolicznościami, jakie na przyszłość zatrudniać go będą!«

Bremer uściskał swoją narzeczonę, mówiąc: »Zacna duszo, wszędzie miłość twoja ku mnie w najjaśniejszem okazuję się świetle!« Chciał dalej mówić, gdy ktoś tak gwałtownie i silnie zadzwonił do kamienicy, że odgłos ten przeraził strachem całe towarzystwo.

»Boże! cóż to jest?« zapytała radczyni, »któż tak gwałtownie dobija się do spokojnego mieszkania?«

Wszyscy powstali, Ludwika sądziła, iż to może będzie malarz mieszkający na wyższem piętrze wracający z artystowskiej biesiady, gdzie się więcej jak zwyczajnie wesołości oddają.

Tu drzwi gwałtownie otworzyły się, a młody Soldan, brat Ludwiki wpadł wybladły, i w okropnem wzruszeniu. Nim przytomni o przyczynę tego szczególnego zjawiska zapytać się go mogli, zawołał gwałtownie: »Na miłość boską! ukryjcie mnie! gonią za mną w ślady! ratujcie mnie przynajmniej w pierwszej chwili! zamknij mię w twoim pokoju Ludwiko, tam mnie szukać niebędą!«

Otrętwiali z przestrachu, tysiące zadawali mu pytań, ale on odpowiedział: »Nie teraz... poźniej... czas nagli, każda minuta zwłoki zbliża mnie do okropnego losu, którego chcę uniknąć.«

Poczem wybiegł tak prędko, że inni ledwie zdążyli pospieszyć za nim, do pobliskiej sali, a ztamtąd przez kilka pokojów do gabinetu Ludwiki, którego drzwi siostra prędko na klucz zamknęła. Wróciwszy do swojego pokoju kobiety siadły utrudzone, niemogąc słowa przemówić, równie jak i Bremer, i każde zatrudniało się tylko w myślach tem zdarzeniem. Po długiej przerwie Bremer zdołał usta otworzyć. »Co się naszemu Ferdynandowi wydarzyło, że ten spokojny zawsze człowiek, którego nic w świecie zmieszać niemoglo, jest tak okropnie wzruszonym?«

Ludwika spojrzawszy na matkę, co adwokat natychmiast zrozumiał, rzekła: »Każde nieszczęście w jego bliskości zdarzone, żywo go przenika, może kto został końmi przejechany, może z okna wypadł, może jaki inny wypadek, tego tylko pojąć niemogę, dlaczego się ukryć pragnął?« Tu znowu dał się słyszeć dzwonek, ale nie tak gwałtownie.

Bremer otworzył drzwi pokoju, ażeby na oświetlonych wschodach obaczyć przychodzącego; w tej chwili służąca drzwi domu otworzyła, a na drugiem piętrze mieszkający malarz Halm wszedł do sieni. Dziewczyna zapytała go: »Panie Halm, co znaczy to zbiegowisko ludzi na ulicy? czy pożar wybuchnął?«

Przez drzwi otwarte można było każde słowo w sieni wymówione słyszeć wyraźnie.

»Nie« odpowiedział malarz, »okropniejsza rzecz nad pożar wydarzyła się w tej chwili: córka tajnego finansowego radcy Lamann w swoim pokoju zamordowaną została!«

* * *

Radca Soldan, żyjący od dawnego czasu z dochodów swojego majątku, przed pięcią laty z margrabstwa przesiedlił się do wspaniałej nad Renem prowincii, gdzie jedno z największych miast obrał sobie na mieszkanie; niemając więcej dzieci oprócz Ferdynanda i Ludwiki, tem więcej starania przykładał do ich wychowania, co przy znacznym majątku, jaki posiadał, i przy wybornych zdolnościach dzieci,

tak mu się dobrze powiodło, jak tylko sobie mógł życzeć.

Ludwika postaci najkształtniejszej, blondynka, z okiem pełnem niebieskiem, delikatnych rysów twarzy, i różowych kolorów, mogła być pięknością nazwaną. Charakter miała łagodny, umysł wesoły, i rozliczne posiadała umiejętności. Pierwszem wykształceniem jej serca i rozumu trudniła się matka, kobieta od wszystkich szacowana, sławna pensia dokonała jej wychowania.

Ferdynand okazywał od młodości skłonność do życia wiejskiego, wszelako z ochotą poświęcał się naukom języków, muzyki i rysunków; do roku dwunastego trzymano mu guwernera, człowieka w każdym względzie zdolnego, założyć fundament do przyszłych nauk, jakie Ferdynand poźniej w gimnazium pobierał; chociaż nie dla chleba, ojciec chciał wszelako, żeby się udał do akademii w Bonie. Ale zaledwie tam dwa lata spędził, gdy ojciec jego umarł; był jeszcze tyle szczęśliwym, że odebrał jego błogosławieństwo, równie jak i siostra która w czasie słabości ojca z pensii powróciła.

Po skończonej żałobie, zostawił Ferdynand siostrę swoję przy matce, a sam udał się jeszcze na rok do akademii w Berlinie; tego ostatniego roku swojej nauki, użył zarazem do zadośćuczynienia obowiązkom stanu żołnierskiego, wstąpiwszy jako ochotnik do gwardii strzelców. W Berlinie spotkał się z referendarzem Gustawem Bremer, który tam przybył ostatni zdać examin. Referendarz był o kilka lat starszym od Ferdynanda, oba jeszcze nad Renem w przyjaznych zostawali stosunkach, co teraz niemało przyczyniło się do zawarcia najszczerszej przyjaźni. Powrócili razem w okolicę Renu, a Ferdynand przyjaciela swojego wprowadził w dom matki. Młody, teraz adwokatem krajowym mianowany Bremer, znalazł w domu Soldanów najmilsze przyjęcie, i umiał się w czcigodnem kole tej familii tak dalece uczynić domowym, że pani radczyni i Ludwika, z odjazdu młodego Soldan, który umyślił rok na zwidzenie krajów poświęcić, mniej okazały zmartwienia, niż się tenże spodziewał. Poleciwszy przeto przyjacielowi, żeby na jego miejscu obowiązki syna i brata wykonywał, przekonany, że ich dobrej zostawia opiece, udał się w podróż. Soldan przejechał nie bez użytku całe Niemcy aż do granic Rossii, zwiedził Szwajcarią i Włochy, ztąd popłynął do Paryża, a po dłuższym tam pobycie puścił się do Anglii; poznawszy dokładnie życie w Londynie, przybył do Ostendy, a ztąd, ponieważ go chęć do domu ściągnęła, udał się koleją żelazną do Kelnu.

Na kolei żelaznej miał szczęście siedzieć w jednymże wagonie, z zachwycającą młodą damą, która w towarzystwie starego mężczyzny równie z Anglii powróciła. Byłto tajny finansowy radca Lemann z swoją córką Amalią, która wcześnie utraciwszy matkę, przed trzema laty przybyła z ojcem na mieszkanie do miasta, gdzie Soldan przebywał; ta wiadomość była powodem do bliższej znajomości, zwłaszcza gdy Amalia oświadczyła, że siostrę Ferdynanda widywała w wielu kompaniach, na koncertach, i tylko przypadek niedozwalał dotąd ściślejszego zaprzyjaźnienia się tych obu dziewcząt. W Kelnie zostawali podróżni przez dwa dni w jednemże pomieszkaniu, i zawsze blisko siebie, poczem wsiedli na statek parowy, wracając do domu. Smukła postać Amalii, jej twarz prawdziwie piękna, czarne oczy i gęste włosy spadające na ramiona, musiały za pierwszem jej widzeniem zrobić wrażenie na Ferdynandzie, bo siedząc na przeciw niej, zatopiony w jej wdziękach, wpadał w zamyślenie, i zapominał na przepisy przyzwoitości, które zapraszały go do uczestnictwa w rozmowie. Amalia dostrzegła jednak pomięszania młodzieńca, którego sama była przyczyną, i dlatego starała się przyjaznem wezwaniem przebudzać go z tych marzeń, z czego Ferdynand do zachwycenia był ucieszony. Na statku parowym, którego pokład podróżni w czasie najpiękniejszej pogody tylko w godzinę obiadową opuszczali, widziano Ferdynanda i Amalię zawsze razem w wesołej rozmowie. Piękności natury po obu stronach rzeki, miały dla nich nieznany dotąd powab; serca ich otwierały się, a spojrzenia dość wyraźnie mówiły, czego usta jeszcze powiedzieć nieśmiały. Uważny ojciec, człowiek, który dla roskoszy świata i szlachetnych uczuć niemiał jeszcze zmysłów przytępionych, widział z wewnętrznem upodobaniem wzrastającą skłonność tych młodych ludzi. Stary Soldan znany mu był jako mąż najuczciwszy, i od władz wyższych poważany, to zdanie przeszło i na syna, i ile mógł o nim sądzić z tych kilku dni przebywania wspólnego, musiał mu dać świadectwo wybornego ukształcenia i szlachetnego charakteru Przypadkowa znajomość niepowinna się tu kończyć, wysiadłszy więc na ląd, prosił go usilnie, żeby ich odwidził, co Ferdynand, jak się domyśleć można, z największą chęcią uczynić przyrzekł. Wdzięczne spojrzenie Amalii wynagrodziło mu to przyrzeczenie.

Szczęśliwy Ferdynand w zbytku roskoszy, omal że niezapomniał o bliskiem widzeniu swojej rodziny, ale teraz rozstawszy się z towarzyszami podróży, obudziło się roskoszne uczucie w jego piersiach, z jakiem po długiem niewidzeniu spieszymy do ojcowskiej siedziby, do pozostałych krewnych; niewyznaczył